

Realny liberalizm

19 kwietnia 2011

Podwyżki podatków – w tym VAT-u – nie stoją w sprzeczności z doktryną liberalizmu gospodarczego. Są jej perwersyjną kwintesencją.

Pewien popularny zespół muzyczny śpiewa, że „Nic nie boli tak, jak życie”. Nas owo życie zabolę za sprawą podwyżki stawek podatku VAT na żywność, odzież, paliwo, część usług, książki itp. Sprawa była wielokrotnie komentowana w mediach, więc o szczegółach podwyżki pisać nie chcę. Wspomnieć warto jedynie o tym, że najbardziej uderzy ona w niezamożnych. Większość Polaków to, wedle wszelkich sondaży, osoby, które nie posiadają oszczędności ani aktywów generujących istotne dodatkowe dochody, przeznaczający niemal całe zarobki na finansowanie bieżących potrzeb konsumpcyjnych. Będą teraz płacili więcej za niemal każdy towar bądź usługę. Będą więc biedniejsi.

Nie jest to informacja bez znaczenia w całej, większej niż podwyżka VAT-u, układance. Wśród wielu komentarzy krytycznych wobec tej decyzji, znaczną część zajmują opinie, które rozliczają rząd PO – partii deklaratywnie liberalnej gospodarczo – ze „zdrady ideałów”. W uproszczeniu, ich treść sprowadza się do stwierdzenia: „Jako liberałowie powinniście obniżać podatki, wy zaś je podwyższyliście”. Takie opinie to przejaw liberalizmu „romantycznego”.

Każda ideologia ma co najmniej dwa warianty. Pierwszy to sielankowa wizja, której wprowadzenie w życie zwiastować ma początek nowej, lepszej epoki dla wszystkich, co najwyżej z wyjątkiem grup uznanych za wrogie („nie zasłużyli” na „lepszego świat”). Nie godzi się ona na kompromisy, a rzeczywistość postrzega przez pryzmat teoretycznych deklaracji. Każda ideologia, nawet najbardziej zbrodnicza, miała swoich „romantyków”, którzy krytykowali realny reżim za „zdradę

ideałów", a przynajmniej za częściowe odejście od pryncypiów, drobiazgowo wyliczając, że w tej i tej kwestii „nie tak przecież miało być”. Nazizm miał swoich „romantyków” w postaci braci Strasserów, którzy zarzucali Führerowi, że poszedł na kompromis z wielkim „plutokratycznym” kapitałem, a „aryjskim” robotnikom nie dał tyle, ile obiecywał. „Romantykami” komunizmu byli Trockie oraz „starzy bolszewicy” zamordowani w ramach czystek, zarzucający Stalinowi, że odszedł od „dziedzictwa Lenina”, zdradził sprawę Światowej Rewolucji, lekceważył rady robotnicze (sowiety) itd. Dziesiątki lat po upadku III Rzeszy i ZSRR ukazują się strasserowskie i trockistowskie gazetki, których autorzy przekonują, że „prawdziwego” nazizmu i komunizmu nie było nigdy (lub jedynie bardzo krótko), były tylko „błędy i wypaczenia”, które nie przekreślają „wspaniałości” samej doktryny i konieczności dążeń do jej „autentycznej” realizacji.

Z tego względu wszelkie nurty polityczne należy oceniać nie wedle deklaracji, lecz z punktu widzenia realnych wcieleń. Nawet te, które są mi bliskie, oceniam właśnie tak – program socjalistyczny czy socjaldemokratyczny jest dla mnie znacznie mniej ważny, niż jego realne wcielenia, np. w krajach skandynawskich, z ich ogromnymi zdobyczami, ale także słabościami, „wypaczeniami”, nierozwiązanymi problemami i niedotrzymanymi obietnicami. To nie praktycy są źli – to w samej ideologii coś było nie tak: czegoś nie wzięto pod uwagę, coś pochopnie zlekceważono, coś obiecano na wyrost.

Swoich „romantyków” ma też liberalizm gospodarczy. Gdy liberalni realiści podnoszą podatki, czytelnicy „Najwyższego Czasu!” pomstują na ich zaprzaństwo, nazywają łże-liberałami lub pseudoliberałami. Dokładnie tak, jak bracia Strasserowie i Trocki chłostali Hitlera i Stalina bezpłodnym słowem. Pragmatycy jednak niczego nie zdradzili. Widać to w kontekście podwyżki VAT-u doskonale, gdy przypomnimy sobie, jak jeszcze kilkadziesiąt lat temu postrzegano orędowników leseferyzmu. Otóż gdy sięgniemy po stare, kanoniczne teksty programowe czy

publicystyczne nie tylko socjalistów, ale także np. chadeków, wówczas dowiemy się, że liberalizm, który dziś stroi się w piórka idealistycznej walki z „uciskiem podatkowym” czy „wszechwładzą państwa”, traktowano po prostu jako doktrynę i ruch służące obronie przywilejów warstw posiadających. Takie było i jest sedno praktyki liberalizmu gospodarczego.

Podatki, owszem, chciano obniżać, ale głównie tym, którzy mieli najwięcej do stracenia na prospołecznym systemie fiskalnym. Tylko wyjątkowo naiwni mogą wierzyć, że liberalne stronnictwa polityczne kiedykolwiek poważnie przejmowały się stawkami podatkowymi takich „prywatnych przedsiębiorców”, jak sklepikarz czy szewc. „Pazerność rządu” zwalczana jest przez nich wtedy, gdy państwo sięga do kieszeni największych firm, wielkich biznesowych „rodów” i grup interesu. Wrzask liberałów-realistów słychać wtedy, gdy pojawia się ryzyko podwyższenia górnych stawek podatku dochodowego. Milczą zaś oni lub jedynie półgębkiem – dla uwiarygodnienia się – protestują, gdy rosną stawki najniższe. Ile razy słyszeliście z ich ust propozycję, żeby np. znacznie obniżyć podatek dochodowy nie bogatym, lecz najuboższym? Tzw. kwoty wolne od opodatkowania były zwiększane w większości krajów europejskich nie przez liberałów, lecz przez formacje socjaldemokratyczne lub chadeckie. Uznawały one, że jeśli ktoś nie powinien płacić podatków, to ci, którzy ledwo wiążą koniec z końcem, nie zaś ci, którzy ulgi podatkowe wykorzystują w teorii na „nowe inwestycje” i „tworzenie miejsc pracy”, zaś w praktyce na nowe jachty, większe wille i coraz bardziej egzotyczne wojaże.

Kolejnym mitem związanym z liberalizmem jest przekonanie, że dąży on do okiełznania tego, co Jankesi nazywają Big Government, czyli wielkim rządem. W rzeczywistości liberalni pragmatycy nigdy w dziejach nie „zmniejszyli” znacząco żadnego państwa. Realny liberalizm nie polega na ograniczaniu funkcji państwa i istotnym zmniejszaniu wydatków budżetowych. Jego celem jest jedynie zmiana kierunków działań państwa – tak, aby mniej wydawało ono na zaspokajanie potrzeb szerokich rzesz

społecznych, zaś więcej środków i wysiłków poświęcało temu, co zwiększy profity bogatej garstki. Propaganda mówiąca o „zmniejszaniu marnotrawstwa” czy o „odebraniu biurokratom władzy nad obywatelami” to lep na łatwowiernych. W praktyce zmniejsza się budżetowe dotacje do szkół czy szpitali, aby więcej środków przeznaczyć na wspieranie wielkiego biznesu – czy to wprost, np. za pomocą dotacji do bankrutujących banków, czy pośrednio, prowadząc militarne podboje, aby przemysłowa oligarchia miała zapewnione tanie surowce i nowe rynki zbytu. Tam, gdzie przeciętny obywatel zostaje pozbawiony wsparcia – sam musi walczyć jako konsument z nadużyciami biznesu, jako pracownik z łamaniem przepisów lub nie ma ochrony ze strony niedofinansowanej policji – tam całe zastępy urzędników czekają na byle skinienie możnowładców, którym trzeba zbudować infrastrukturę niezbędną do prowadzenia biznesu, powołać specjalne strefy ekonomiczne, zmienić przepisy tak, aby nie przeszkadzały w zarabianiu forsy itd., itp.

Państwa nie jest wcale mniej – jest go tyle samo, a bywa, że nawet więcej. Tyle że nie dla nas, szaraczków, lecz dla nich, „inwestorów”, „prywatnych przedsiębiorców”, „biznesmenów roku” etc. Gdy liberalni pragmatycy zajmują się „upraszczaniem przepisów”, to można być pewnym, że ułatwią zatruwanie środowiska, usuwanie lokatorów z cennych lokalizacji lub dewastację zabytków, nie zaś zaskarżanie koncernów farmaceutycznych za zniszczenie naszego zdrowia lub „dewelopera” i prawnika, którzy wywłaszczyli nas z ziemi, na której stanie centrum handlowe. Nawet takie ikony liberalizmu gospodarczego, jak Reagan czy Thatcher, nie dokonały znaczącego ograniczenia funkcji i wydatków państwa. Pieniądze zaoszczędzone na zasiłkach dla bezrobotnych czy dotacjach do publicznego szkolnictwa trafiły do budowniczych autostrad czy prywatnego sektora militarnego. Środki, których nie otrzymały „nierentowne kopalnie”, wpłynęły na konta koncernów zajmujących się poszukiwaniami gazu na Morzu Północnym.

To samo dotyczy nie tylko ogółu podatników, ale nawet tej

warstwy, którą liberałowie często wycierają sobie gęby, mianowicie drobnych firm prywatnych. Jeśli porównać budżetowe wsparcie dla wielkich korporacji z tym, co otrzymują niewielkie firemki, albo jeśli zestawić wysokość ulg podatkowych dla „magnatów przemysłowych” z tym, co zostaje w kieszeniach właściciela sklepu, apteki czy punktu naprawy parasoli, to liberalny czar pryska nawet z punktu widzenia „prywatnych przedsiębiorców”. To samo widać jeszcze lepiej, gdy rozmaite liberalne rządy upraszczają procedury np. eksploatacji ropy naftowej czy sprzedaży prądu, za to śrubują normy dla produkcji tradycyjnych wyrobów spożywczych. Na tych pierwszych biznesach zarabiają od pokoleń te same rody najbogatszych, zaś te drugie to konkurencja dla koncernów spożywczych. Gdyby przyjrzeć się np. lobbingowi na rzecz rozwiązań sanitarnych dla sektora spożywczego czy ferm hodowlanych, wówczas okaże się, że znakomita większość „socjalizmu”, czyli regulacji prawnych, jest pochodną nacisków wielkiego prywatnego biznesu, który wykańcza drobną konkurencję i zdrowie konsumentów, nie zaś knoń „lewaków” czy „biurokratów”. Nic zatem dziwnego, że np. w USA realne dochody klasy średniej spadały – zamiast rosnać – w czasach rządów Reagana czy obu Bushów. Wzrosła za to liczba miliarderów i ubogich.

To, że liberalni pragmatycy nie rozmontowali nigdy i nigdzie „wielkiego rządu”, wynika w dużej mierze właśnie z tego, że ów rząd i jego budżet są nader przydatnymi narzędziami wspierania finansowej oligarchii. Wynika też jednak z tego, że pragmatycy nie są tak naiwni i kiepsko wykształceni, jak romantycy. Ci ostatni, co uderza przy bliższym zetknięciu się z takimi środowiskami, niezwykle rzadko dysponują choć podstawową wiedzą o procesach społecznych. To nie przypadek, że wśród zagorzałych propagandystów i wyznawców „prawdziwego liberalizmu” niemal nie uświadczymy socjologów, adeptów polityki społecznej czy planistów przestrzennych, lecz dominują tam ekonomiści-teoretycy (bo już nie ekonomiści badający realne ustroje i rozwiązania oraz ich skutki) lub

absolwenci filozofii, politologii czy historii idei. Nie wiedzą oni tego, co wiedzą liberalni pragmatycy lub ich doradcy – że nowoczesne społeczeństwo nie może mieć oparcia w książkowym modelu „państwa minimum”. Tylko czytelnicy „Najwyższego Czasu!” mogą sobie roić, że masowe społeczeństwo, nie bazujące już na – dawno rozbitych przez dynamiczny kapitalizm – „naturalnych wspólnotach”, można ponownie oprzeć na rodzinach, kręgach sąsiedzkich, filantropii i dobrowolności. Upadek nowoczesnego państwa nie zaowocowałby sielanką spod znaku szczęśliwych wielodzietnych rodzin, opiekujących się rodzicami na starość i zgodnie żyjących wraz z innymi w przyjaznych społecznościach. Przyniósłby natomiast bezlitosną walkę wszystkich ze wszystkimi, w której to walce byłyby miliony ofiar, z łajzowatymi UPR-owskimi teoretykami na czele. Z tego też względu nawet Thatcher czy Reagan nie rozmontowali całkowicie pomocowych struktur państwa, lecz przenieśli część ich budżetów do kieszeni biznesu, czego skutkiem nie był bynajmniej renesans rodzin i „odpowiedzialnego polegania na własnych siłach”, lecz eskalacja patologii społecznych i wzrost liczebności „podklasy”.

Podwyżki VAT-u doskonale wpisują się w realny liberalizm. Państwo nowoczesne jest ze swej natury państwem kosztownym – może być nieco tańsze, lecz całkiem tanie nie będzie nigdy. Można je finansować dwójako – albo z wyższego obciążenia podatkowego bogatych, albo z podniesienia „haraczu”, który płacą wszyscy, w tym najubożsi. Gdy rządzą liberałowie, czyli stronnictwo dbające o interesy bogatszych warstw społecznych, wybiera się to drugie rozwiązanie. Wybór liberałów nie oznacza zatem zmniejszania podatków, a wręcz może oznaczać – co właśnie widzimy – ich podwyższanie. Wzrost stawek VAT-u nie jest zdradą ideałów liberalizmu gospodarczego. Jest ich konsekwencją.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)